

Jak nazwisko stało się marką

Najnowsza książka Barbary Kanold „Rodzina historia słodczy” jest nie tylko sagą z dziejów wielkopolskiej rodziny, ale też historią rodzenia się polskiej przedsiębiorczości po I wojnie światowej i odzyskaniu przez Polskę niepodległości po czasach zaborów – takim stwierdzeniem rozpoczął się wieczór autorski w siedzibie Pracodawców Pomorza. Podczas spotkania fragmenty tej niezwykle interesującej książki czytał aktor Jerzy Kiszkiś.

Barbara Kanold przyznała, że do napisania wspomnień o rodzinnym przedsiębiorstwie skłonili ją ludzie spoza kręgów rodziny.

- Kiedy w 1949 roku wyrzucano nas z Leszna, pozbawiając wszystkiego: dobrze prosperującego przedsiębiorstwa, rodzinnego domu i pieniędzy na fabrycznych kontaktach – miałam 10 lat i niewiele z rodzinnych dziejów pamiętam. Dopiero dużo później – kiedy zobaczyłam w Okręgowym Muzeum Leszczyńskich album z rodzinnymi zdjęciami подарowany memu ojcu przez pracowników w roku 1948, kiedy porozmawiałam z ludźmi pamiętającymi naszą fabrykę – a żyje jeszcze, obecnie 92-letnia, najstarsza pracownica zakładu, pomyślałam, że należy te karty wielkopolskiej przedsiębiorczości ocalić od zapomnienia. I tak powstała opowieść utkana ze skarbów pamięci (i gorzkiej historii).

Najpierw było dzieciństwo – pachnące karmelem i mlecznymi kanoldami. Przedwojenne czasy zna tylko z opowiadań ojca. Była ciekawa, czy rodzina była zamożna:

- Zarabiałem miesięcznie jakieś 2.400 złotych – wspominał ojciec.

- A listonosz ile?

- Około 120 zł.

- To czemu nie podróżowaliście po świecie? Nie jeździliście do modnych



Uczestnicy promocyjnego wieczoru, wśród nich m. in. Jan Zacharewicz i prof. Jerzy Młynarczyk – bohater jednej z poprzednich książek Barbary Kanold



Barbara Kanold, bohaterka wieczoru

kurortów?

- Przecież trzeba było inwestować, kupować grunty, wznosić budynki, sprowadzać nowoczesne maszyny. I dawać pracę ludziom. Samych pakowaczek było ze 150.

Przedwojenne wielkopolskie tradycje przetrwały do powojennych czasów. Trochę z tych zwyczajów autorka zapamiętała. To co obecnie nazywa się społeczną rolą biznesu było oczywistym wymogiem i zwyczajem, wspominała. Przekazywanie słodczy na szkolne uroczystości, organizowanie kuligów dla dzieci, bycie fundatorem kortów tenisowych. Wigilia dla wszystkich pracowników z udziałem rodziny właściciela była również tradycją. W największej fabrycznej hali obok choinki ogromny stos paczek z prezentami dla każdego zatrudnionego. Obok drugi – paczki ze słodczymi dla dzieci. Kiedy

pani Barbara z rodzeństwem ustawili się kiedyś na początku dziecięcej kolejki, ojciec natychmiast odesłał ich na sam koniec. Dzieci miały obowiązek pozdrowić każdego pracownika:

- Bo przez życie łatwiej się idzie z kapeluszem w rękę niż na głowie – przekonywał ojciec.

Powojenna nacjonalizacja zakładu była szokiem dla ojca i dziadka. Najpierw jeszcze mieli nadzieję, że się uda go ocalić. Wtedy to dodali do nazwiska człon: Kanold. Naprawdę nazywali się: Kaczmarek. Anton Kanold z Goeteborga był to człowiek od którego w roku 1931 Mikołaj Kaczmarek kupił większościowy pakiet udziałów w fabryce słodczy w Lesznie. A potem nazwa cukierków, które stały się sztandarowym produktem zakładu, a sprzedawano je nawet we Lwowie i Kijowie. Ojciec Pani Barbary Henryk zmienił nazwisko na Kaczmarek – Kanold, aby ocalić jeśli nie zakład, to chociaż receptury, których był twórcą.

Niestety fala nacjonalizacji zabrała i ich fabrykę. Z bólem serca opuszczali ją i rodzinny dom w Lesznie w czerwcu 1950 roku. Henryk Kaczmarek-Kanold pracował potem jako główny technolog w poznańskiej fabryce słodczy Goplana. Nawet po pewnym czasie filią Goplany stała się ich dawna fabryka w Lesznie. Ale po kolejnych zawirowaniach historii kupił ją prywatny właściciel. Zburzył budynki. Obecnie na tym miejscu widnieje dziura w ziemi. Ma powstać tam galeria handlowa o nazwie Goplana.

- Żeby choć nazywała się Kanold – ze smutkiem w głosie mówi Pani Barbara.

Anna Kłós